

I. Nadreaktywność

Nie ma mnie tu. Moszczę sobie wygodne gniazdko w bliżej nieokreślonej rzeczywistości, sklejam przeszłość ze zdeformowanym "teraz".

Steampunk, vintage, a wszystko w kuriozalno-poważniackim sosie, okraszone zdepresyjniałym komedianctwem, doprawione nostalgią a czymś niedoistniejącym.

Afabularność, dni lepkie, niczym pajęczyna, w którą złapał się wielki, cuchnący smarem parowóz.

Poszukiwanie w sobie i naokoło... środka tarczy, meritum. Próby strzelenia w głąb, do sedna, wnętrza, czymkolwiek by się nie okazało - spełzają na niczym.

Szukam wczorajszego dnia i zamiast niego znajduję odbryzgi żyć siakiś... czyjsków, ludzi banalnych i słabych, nieistotnych i zbywalnych, przechodzonych. Przechodnich, takich, którzy z samym sobą mijają się w podziemnym przejściu.

Biorę w dłonie i (odwaga granicząca z głupotą) do ust te fragmenty ciał i losów. Nie próbuję z nich składać niczego, a już w żadnym razie siebie; dopełniać się nimi, zmieniać, redefiniować.

Chodzi jedynie o popieszczenie, dotyk, chwilowe mieszenie w ustach strzępków płócien flamandzkich mistrzów, pozucie odlanych w betonie palców i gałek ocznych Judyt, Holofernesów.

W zasadzie cieszę się, że grzebanina w polikolorowym, arcyfluorescencyjnym kisielu nie kończy się dotarciem do Esencji, jakimkolwiek konstruktywnym wnioskiem, (być może byłbym przerażony tym, co ydałoby się znaleźć).

Ciągle gonię kamiennego króliczka i spełniam się w tym. Uważajcie - bywa mi się czasami niesłownym, pożyczam od ludzi (albo znajduję na ulicy i nie oddaję właścicielom) ich cechy.

Sam już nie wiem, ilu we mnie tkwi parobków, chromych, ociemniałych żebraków, alkopariasów. Rozdrabniam się tym nabieraniem obcych kształtów, rozmieniam na drobne, a nie scalam. To jedna wielka zatrata; przechodzenie z jednej formy w drugą jest powolnym samobójstwem.

Mutuję i jestem mutowany, raz mam upudrowaną twarz nastolatka, członka subkultury juggalo (dramat i żenada), to znowu zakładam prababciną, przeżartą przez mole sukienkę. I jestem belferką, belferztycą, nauczycielskim potworem, jakim rodzice straszą niegrzeczne dzieci.

Zachowuj się, czytaj lektury, inaczej przyjdę i wykluję ci oczy czerwonym długopisem!

Martwy królik ciągle jest o parę kroków przede mną. Nie na wyciągnięcie ręki. Może i lepiej, jeszcze by odgryzł?

Wygłosiłem tysięczne przemówienie w Senacie, jutro jadę na Biegun Północny rozmnażać tygrysy.

Donaszam ubrania po zmarłych ciotkach. Chcesz? Doniosę na ciebie do SB, zadenuncjuję jako członka Ruchu Bierności. I skończysz na białych niedźwiedziach gdzieś pod Jakuckiem, albo zakatowany w piwnicznej izbie Łubianki.

Mebluję sobie apartament. Nie żaden penthouse, raczej ubogoburżuazyjny, można by rzec - pauperomenelski, w samotnej wieży gdzieś na odludziu.

Przyjdź, poudajemy, że nas nie ma, pozgrywamy topielców, albo kanibali. Pomożesz mi szukać bezsensu życia, albo dopisać się do listy ofiar niedawno spadłego w dżungli, holenderskiego airbusa.

Na końcu obejmiemy moje ponure wieżysko, tak mocno, mocno, że zawali się nam na głowy.

Duchy dwojga straceńców zlepią się z postaciami książki, która w ubiegłym roku otrzymałaby Nagrodę Kościelskich, gdyby tylko autor nie był takim dupkiem i nie istniałyby uzasadnione obawy, że nie tyle nie przyjmie, co wywoła niemały skandal (nawet samą obecnością, świeceniem pokancerowaną facjatą, bielmem i szramami).

Posłuchamy Insane Clown Pose, głośno. Bardziej! Aż wypłaczemy bębenki, a w ich miejsce wyrosną membrany głośników.

Możemy, jeśli oczywiście zechcesz, upleść wspólną sieć i złapać się oboje, umrzeć z głodu za obrazem Matki Boskiej Karmiącej, który wisi w najmniejszej izdebce chaty po dziadkach, obecnie zamieszkaną jedynie przez pająki i kurz (jest go tyle, że dałoby się ulepić swego rodzaju bałwana-Marzannę, sklepowego manekina do prezentowania używanych, poniemieckich szmat, ciuchlandową niemotę, której jedynym zadaniem byłoby być niemodnym i się w tej niemodności doskonalić, ćwiczyć przestarzały gust, nabierać wprawy w jak najdostojniejszym staniu w przyblakłych guccich sprzed dekad).

Ciągle szukam, podróżuję do Niewiemczemki (leży półtora kilometra na południowy wschód od Białego stoku).

W środku tarczy trwa bezustanna impreza, albo zasychają martwe muchy, pióra i długopisy.

Nabieram doświadczeń, niby wody w dłonie. Brudnawa i mętna, ale i tak się napiję. Moja wieża milczenia-chałupa jest płynna, jak i cały ja, przecież mówiłem.

Dobra, koniec tych przedstawień, aktor się przedstawił, odpierdolił takie entrées, że klękajcie narody, pastersze śpiewajcie, cuda, cuda ogłaszajcie; aktor może odejść, albo odciąć sobie głowę (tekst sztuki wydrukowano na wyjątkowo ostrzym papierze!).

Przeklęam, howgh. Zrób z tym co chcesz - przypal, zgnieć. Driftuj tym.

Idziemy groteskowo wolno, w dodatku kołysząc się, niczym dwaj nagrogowani marynarze. Na ramionach skrzeczą nam niewidzialne papugi, w ustach zamarzają słowa szant. Spluń, a skostnieje ci język, pokryje się szronem - i będziesz mówił monosylabami.

To zrobi doskonale morskim opowieściom.

Arktyczno-weselne, przytulne miasteczko, przez które idziemy, sprawia wrażenie scenografii filmu rodzinnego. Kręcono tu cukierkową adaptację Opowieści wigilijnej i zapomniano zabrać klamoty.

Nie - wszystko w człowieku się buntuje, gdy ma przed oczami to, co ja teraz, jest karmiony taką ilością sielankowych obrazów.

Takich miejsc nie ma, bo nie może być, świat jest zbyt brutalny i obskurancki, by dopuścić ich istnienie. Zbłądziłeś w filmie dla dzieci, bierz dekoracje za... - próbuje ci truć racjonalność, wyjątkowa hetera, ale nie słuchasz.

W wyciosanych ze stwardniałego ze starości piernika chatkach rozgrywa się szczęście, jednoaktowe przedstawienie bez racjonalnej puenty.

Domki, mieszkania, bloki, kamieniczki, gdzie pływa się w karmelu, lokatorzy nurkują w ciepłym, wylewającym się na ulice świetle.

Przytulność, aż do przesady, lata spędzane przed kominkami (nawet przez stosunkowo młodych ludzi!), objanie się pluszem od wewnątrz.

Herbatki, podwieczorki przy patefonie (Edith Piaf - jak zwykle trzeszczy, ta to chyba nigdy nie nauczy się normalnie śpiewać, z płyty na płytę jej głos jest coraz bardziej chropowaty i nieprzyjemny, jakby stawał się szorstkim kocem, pod którym nie da się leżeć), przeobrażanie się w pluszowe niedźwiadki.

Pocieszność, nawet Ebenezer Scrooge, jeśli gdzieś się trafi, jest fajtłapowatym, budzącym sympatię dzieciem.

Lale z porcelany uśmiechają się z komód, klocki lego aż proszą się, by na nie nadepnąć, takie są mięciusi.

Uniwersum dzieciństwa, gdzie trudno zachować dojrzałość, wszystko jest proste, banalne, przypomina zabawkę. Tu nie musisz się golić, bo nigdy nie dorastasz, a nawet, gdybyś chciał - nie jesteś w stanie, bo i jak - w krainie bajek, gdzie nic nie ma prawa być ostre, kłujące?

Włóż rękę w ogień i się nie poparzysz, "Scenografie" są tak profesjonalnie zrobione, w dodatku przy użyciu sztuczek magicznych - i zapewnią ci bezpieczeństwo.

Tu piły motorowe, tarczowe to podusie, jedyną chorobą, na jaką można zapaść jest katar. Tu umiera się z uśmiechem na ustach, pogodnie, w otoczeniu najbliższych i wyłącznie w późnej starości, najczęściej po sto piętnastych urodzinach; jeżdżą same drogie i komfortowe auta (rolls royce i avions voisins), a dosłownie wszystko jest podporządkowane familiarności, stwarzaniu miłej atmosfery i, rzecz jasna - wigilii Bożego Narodzenia.

Najważniejsze jest rodzinne szczęście, a jego kwintesencją, afirmacją, szczęściem szczęść, przerodzinieniem się aż do porzygu - wspólne zasiadnięcie do kolacji.

Obowiązkowy karpik (zabito go w innym filmie, tu byłoby to nie do pomyślenia), światełka migające pośród ubombkowanych gałązek choinki (dostała zastrzyk znieczulający przed ścięciem), kolędy, piosenki, prezenty, kicio, barszczyk z uszkami, pierwsza gwiazdka, wół i osiołek w stajence.

Tu każdy zapuszcza w głowie mały Nazaret, zbija byle jaką budę, złób i, w glorii, chwale, przy dźwiękach "Wśród nocnej ciszy" rodzi się w nim z dziewicy, bezboleśnie i bezkrwawo (plun! - i jest nowy sielankowicz).

Człapiemy przez krainę bez morderstw, głodu, bezdomności. Potencjalni przestępcy porefleksowali się, że do diabła - przecież tak nie można - i porzucili nieczne zamiary.

Każda rodzina czuła się w obowiązku zaprosić biedniejszego, samotnego sąsiada, ugościć pół mitologicznego, zbłąkanego wędrowca.

Proszalne dziadziśka, wieczni tułacze, jakby nigdy nie siedzą za stołami. Nie cuchną, bo to przecież zakazane/nieemożliwe w zimowym raju.

Łzy wzruszenia kapią do talerzy, rosą rolmopsy, skrapiają kluski z makiem.

Zapach dwunastu potraw (komuś przyszłoby do głowy zrobić mniej?) rozchodzi się po ulicach. Autentyczny święty mikołaj, nie żaden przebieraniec znany z reklam, wytwór komerchy; jeden w wielu osobach, stoi na każdym rogu ulicy i, podzwaniając szczerozłotym dzwonkiem, rozdaje drobne prezenty. Oczywiście - wyłącznie grzecznym dzieciom. Czyli wszystkim, jak leci - innych nie ma.

A nam się te święta niemiłosiernie wrzynają w palce.

Pod stopami chrzęści czysty, śnieżnobieluchny śnieg, a my się gibamy jak dwa gibony (zaraz - czarnorękę, bo zgangrenowacją nam i poodpadają dłonie).

Taszczywo, jakie taszczymy, mobilny wycinek Edenu, fotoplastikon ze zdjęciami zrobionymi archaniołom i Stwórcy Najwyższemu, jest kurewsko ciężkie. Pocimy się, sapiemy, jak wspomniane wcześniej parowozy. Klęby pary z ust, nosów, nawet - uszu. Para spod pach, buchająca z kieszeni kurtek.

Nie jest ślisko, chodniki - posypana nieroztapialnym cukrem pudrem, coby jeszcze bardziej, wręcz maniakalnie posłodzić atmosferę; jednak, dźwigając dźwigajwo, parę razy omal nie zaliczamy gleby (przydzwoniłoby się parę razy w kostkę brukową - świąteczna atmosfera jeszcze bardziej poszłaby się gonąć; a, nie daj Bóg, przed czasem rozbiłoby się nasze sacrum - to już byłby dramat nad dramaty, Opo-wieść Nekrowigilijna).

Patrykowi stęka się i sapie dużo głośniejsze, niż mnie. Pobladł, biedaczysko, policzki mu się zapadły od tej hiperwentylacji.

Co się dziwić - jest dużo chudszy i niższy, mnizerniejszy, takie chucherko z niego, trzymane przez rodziców pod kloszem, w wielkim inkubatorze i wypuszczane (niechętnie!) wyłącznie do szkoły, by stworzyć pozory normalności; bo co ludzie powiedzą, bo Opieka Społeczna, sąd rodzinny, bo jeszcze odbiorą naszego skarbenka, nie rozumieją, że to z troski - on od zawsze taki słabowity...

Nie zdziwiłbym się, gdyby stara ciągle karmiła go piersią, jak tylko wróci ze szkoły - przytulała, przeszczęśliwa, że przeżył kolejny dzień z dala od niej, wśród dzikusów - rozwyrzonych dzieciaczysk i gestapujących nauczycieli bez serca; po czym rozpinęła bluzkę i przystawiała niebożę do cyca.

Nie powinienem - głos rozsądku skrzeczy do ucha - zadawać się z młodszym chłopakiem. Społeczeństwo oczekuje zgoła odwrotnej postawy: mam się wywyższać, uważać go za szczyła, w najlepszym razie - traktować jak gówniucha, który nie wie jeszcze nic o życiu, dopiero się urodził, wykluł, jest nieopieczonym pisklaczkiem, ma pstro w główce.

Ja - student, on - w ósmej klasie podstawówki. To nic, że dwa lata kiblował - jak twierdzi - z powodu bel-

ferskiego spisku, który złamał mu życie, karierę prawnika, czy lekarza, zanim ta się zaczęła.

Niedorostek i tyle, nieważne, że pełnoletni, trzeci miesiąc opijający dowód osobisty (za co - po pierwsze, i czemu jeszcze rodzice nie urwali mu łba przy samej dupie, nie skierowali na przymusowy odwyk - drugie pytanie za sto punktów). Ma być dla mnie jak młodszy kolega, nikt więcej, a my... wiadomo. Na haju i nie; ręka, noga, mózg na ścianie, dwa nieloty z powbijanymi głęboko w skórę piórami z podartej pierzyny (Patryk - przedostatni bodaj w województwie, jeśli nie w kraju, jedyny przedstawiciel swego pokolenia nie sypiający pod normalną wiskożą, dodzierający przedpotopowe piernaty, jaśki; dinozaur, nekro-antykwareusz, jak ja).

Młodość musi się wyszumieć, jak głosi porzekadło. Do tego - spaść z wysoka i rozwalić swój głupi ryj.

Za młodu trzeba zaopatrzyć się w delameryzator, który piszczałby i błyskał przy każdym lamerskim zachowaniu, słowie, geście.

Dobrze by też było zbudować osobistą Wieżę Babel, po czym uderzyć w nią i tak poobijaną głową.

Młodość rozumiem jako wstrząs mózgu - koniec i kropka.

W co drugim oknie garbatej ze starości (nie "przygarbionej", ale właśnie spotworniałej przez wybrzuszący się dach, balon z papy wyrosły nie wiadomo kiedy i za sprawą jakiej, czarnej jak smoła magii) kamienicy - dnieje, choć jest późne wieczorzysko. Płoną świece, ogień w kaflowych piecach, palą się żarówki.

Wchodzimy. Z miejsca zostajemy znokautowani przez mieszaninę zapachów: brudu, starego drewna, starego brudu, kapusty, kocich szczyn, fekaliiów nieznanej proveniencji, ale najpewniej ludzkich, odmenelskich, fetor starych ust, oddechów przepełnionych wodą święconą, wyziewami najtęższej dewocji. Zieje nam w nosy stugłowa hydra biedy, beznadziei (matko, ależ patetycznie zabrzmiało!), rozpaczy wielkiej w cholerę, niedołężności. Oddychamy siwizną, po twarzach cieknie nam zwietrzała woda kołońska.

Patryk, skacowane niemożebnie chucherko, ślania się na nogach. Przepaskudne klatczysko schodowe jest zaprzeczeniem hurraoptymistycznej idei świąt, tego pierdolca pod postacią brodatego grubasa w czerwonym kubraczku. Weszliśmy do niemalowanej od Powstania Listopadowego, abo wcześniej, hiperzapyziałej obory-umieralni-rozkładalni; miejsca, które wygląda, jakby było składnicą padlin, końskich, krowich, może nawet i ludzkich.

Graficiarskie bohomazy: nazwy zespołów hip hopowych, klubów piłkarskich, ich loga, ksywki pseudoartystów biegłych w sprejomaziarstwie; oczywiście - wulgaryzmy w hurtowych ilościach, jot pe, hawudepy pisane gotyckawą czcionką, jest nawet całkiem wprawnie nafarbiony, czerwonołęby policjant naturalnej wielkości, zgięty i wkładający sobie w odbył pałkę (fantazja dewastatora, czy częste, niestandardowe wykorzystywanie służbowego wyposażenia - można by zapytać, he, he).

Wzdrygamy się obaj. Cholernie nieprzyjemne miejsce. Niesione sacrum zaczyna jeszcze bardziej ciążyć, z każdym stopniem, jaki pokonujemy, przybywa mu kilogramów.

Trzecie piętro bez windy - nic, tylko kłąć w żywe kamienie. Wdźwigiwany skarb kołysze się, dźwięczy, raz prawie wypada z rąk.

- Ostrożnie, kurwa! - syczę ze złością.

Wspinaczka na szczyt zapaskudzonej góry, gramolenie się na syfny Everest dłuży się w nieskończoność, schodziska - zdają się nie mieć końca, piętra - mnożą się złośliwie jak króliki, co pokonamy jedno - w jego miejsce wskakuje pięć następnych.

Wreszcie, po dobrej godzinie taszczenia świeciwa - stajemy przed odrapanymi drzwiami.

"J.A.Dynkowsy" - głosi tabliczka. Nieaktualna, bo A. - ntoni zmarł całe wieki temu. Nie żyje od tak dawna, że zatarł się w ludzkiej pamięci, został jedynie literką wyrytą na blaszce. Całe życie zredukowane do pierwszej buki alfabetu. Przykre. Powszechne.

Stawiamy cud nad cuda, Patryk od razu stęka z ulgą, jakby zdjęto z jego barków cały nieboskłon. Albo patibulum.

Jako bądź co bądź starszy, roślejszy i mniej zmęczony, biorę na siebie obowiązek apukania. Ty sap, młody, ty odpowczywaj.

- Pani Jasiuuu... - zaczynam lekko i przymilnie. Jak się spodziewałem - zero odzewu, głucha cisza odmrukuje w swoim wstecznym języku, że nikogo nie ma w domu, a nawet jeśli jest, to - paradoks - nieobecny.

- Halllooooo! - zaczynam pukać intensywniej, wręcz się dobijać.

- Jest tam kto, halo! Pewnie, że jest! No proszę nam otworzyć, pani Jasiu! Hej kolęda, kolęda! Puk! Puk! Pani Jasiu! Tradycja!

Kroki po drugiej stronie drzwi. Niepewne, powolne, starcze. Bez wątpienia - w bamboszach.

Kroki zalęknionego zwierzątka, które ucieka przed nagonką - jehowych, akwizytorów, komorników.

Szczęk zamka, szczęk sztucznych szczęk. Wpuszcza nas, rozdygotka, ponad osiemdziesięcioletnia demiss.

Pani Dynkowska nie tyle "zachowała resztki dawnej nieurody", co teraz, w podeszłym wieku, jej brzydota rozkrzewiła się, rozpleniła. Wybuchła. Cały czas tryska, gnojówkowy gejzer, wybija wizualne szambo.

Wiem - o starszych trzeba się wyrażać z szacunkiem, bo się może skończy źle, poza tym nie jej wina, że urodziła się w ten sposób kaleka, mordziaki sobie nikt nie wybiera, ale... ja pierdolę. Ręce opadły już dawno, teraz opadają powieki, oczy chcą same się zamknąć, by nie widzieć babsztyla.

Staruszka przypomina... jakich słów użyć, aby najtrafniej opisać zgrozę... wyłysiałego (grzybica, czy inna franca pozbawiła panią Janinę większości włosów na czubku głowy) wikinga (majestatyczna broda - o ironio - została).

Tak - to stojący nad grobem Thoralf, syn Hallbjorna, nie żadna Jaśka, czy inna Gienia. Dzielny woj, ojciec rodu, którego opuściły już siły, przygotowuje się do ostatecznej wędrówki. Walhalla czeka.

Wchodzimy, powoli i z namaszczeniem, Patryk - ciągle zgięty wpół, ja - nieco żywiej, ale też, jakbym właśnie z krzyża szłapywał.

Przedpokój. Przedpotop. Oaza nie tyle biedy, co... wycofania. Zacoiania. Braku sił witalnych. Mentalnych.

Łachmany na wieszakach, sztywne i brązowe od brudu. Dalej - podobnie: meble, które gdyby były w znośniejszym stanie - można by nazwać antykami i żenić na allegro, czy OLX za niezłą kasę - od góry na dół - porysowane i zaśmiecone.

Z krzeseł smętnie zwisają szlafroki, torby supermarketowe, na półkach meblościanki zalega na przemian - zgraja bibelotów made in Ludowa Polska - i najpospolitsze śmieci: opakowania po keczupie, pomusztardowe słoiki, hałastry flaszek, bynajmniej nie po pepsi.

Rozpiło się z samotności pani Jasi, zamknięta w czterech ścianach posiadaczka wybitnie niewyjściowej facjaty popadła w galopujący alkoholizm.

Czego tam nie ma! Od win marki... a, co się będę rozgadywał - cały asortyment średniej wielkości sklepu monopolowego pryniesiony i spożyty. Be popity - żartuję.

Artefakty całkowitego upadku, wycofania się, ucieczki przed mało gościnnym i niesprawiedliwym światem, który obdarzył ją kontratwarzą, rejterady przed okrutnym społeczeństwem szyderców.

Zamiast się nie dawać śmieszkom, plotkom, zamykać gęby - choćby i pięścią - obmawiaczom - zasklepiło się babie w skorupsku i obrośło brodą, butlami.

Błędne koło: pozorny antydepresant wywołujący jeszcze większą melancholię, wpędzający w myśli autodestrukcyjne.

Żaden ze mnie, w wieku dwudziestu paru lat, psycholog; ale każdy, nawet najciemniejszy zaboboniarz, najprostsza baba ze wsi powie, że to droga donikąd (po części zatracam się w podobny, choć mniej widoczny sposób).

Bezdzienna emerytka, skinówa mimo woli i jej szklane, puste w środku psiapsiółki. Obraz przegranej bitwy. Walkowerem.

Stawiamy święte taszczywo obok fotela. Kobięcina, rozdygotana jak galareta, kurtuazyjnie dziękuje, że przyszliśmy, częstuje biedasernikiem, prosto z opakowania. Przeprasza, że nic więcej nie ma, zwłaszcza w TAKIM dniu to wstyd i hańba, ale widzimy, jak jest - wiecie samotnicze życie, prawie staropanieńskie, tylko kotów jej brakuje i kołtuna na głowie.

Wypluci, nieludzko zmęczeni nie śmiejemy się z jej próby żarty. Nawet kąciki ust nie drgną. Sytuacja jest za poważna.

Zbliża się. NASTANIE.

Przysnaję - mam pewne opory, nawet nieco żal mi staruchy, jest niemożliwie brzydka, biedna i sama, zagłuszała weltshmerz, odpędzała demony alkoholem, a te tylko rosły i się replikowały.

Chyba nawet nie poludzku byłoby sądzić kogoś tak paskudnego swoją miarą... Twarz wikinga na emeryturze to jednak wielka okoliczność łagodząca.

Wysoki sędzie - wnoszę o uniewinnienie. Jednocześnie - o ułaskawienie.

A wała. Dura lex - sed lex - dzwonią kieliszki z duralexu (znowu głupi żart), słowo się rzekło - wyrok u płała, trzeba wykonać.

- Jak wiadomo - zaczynam oficjalnie - wyznaczono panią do przyjęcia kolędy. To my właśnie przyszliśmy... ehkm... - chrząkam nerwowo, czym próbuję ukryć, że głos mi drży i zaczyna się wręcz łamać - zakolędować - kończę wreszcie.

Oba wnioski - odrzucono, ja i Patryk - dwuosobowa Rada Państwa, nie mamy uprawnień do skorzystania z prawa łaski. A skoro wina jest bezsporna - musi być i kara. Trzeba rozbić się głową, jak już wspominałem, o wieżę z butli.

Pojmuję, że młodość nie ma tu nic do rzeczy.

W nadmętniałych oczach pijaczki dostrzegam... nie, nie łyzy. Złość i gorycz, że tacy młodzi, a już cyngle, najęliśmy się do roli oprawców, zżarliśmy własne serca, a zamiast nich mamy zwitki banknotów.

"Płatni mordercy! Gówniarze!" - czytam bezgłośny wrzask.

Trzyma jednak fason, pani Jasia, pewnie chce odejść z honorem, nie zbłaźnić się w ostatnich chwilach życia. Ze źle maskowaną rozpaczą i strachem, mówi:

- Dobrze, chłopcy. Zaczynajcie.

Właśnie usiadła na swego rodzaju krześle elektrycznym i poprosiła o włączenie prądu.

Ladies and gentlemen - spodziewajcie się iskierki!

Zaczynam kręcić korbą i otwiera się wieko świętej maszyny. Szopka budzi się do życia.

Pierwszy otwiera oczy VZHIRG, przez tradycję obwołany świętym Józefem. Dalej - trzech mędrcy - pod postacią trójkskrzydłego łabędzia, otwierają drewniany dziobek.

Cicho, lecz gardłowo, ryczy PHTVIIIIL, drgające sprężynki sprawiają, że MEŻKLW radośnie porykuje i kiwa łepetynką. Najgłówniejsze postaci - LARVDŽŽ i jej dopiero co narodzony synek YTFLZU, pojawiają się przy dźwiękach maluszków werbelków, mikro trąbek.

Zaraz zapala się nimb, rozgrzewają aureole i pokój-melina staje się zimną i przeolbrzymią, jednak przytulną katedrą.

Żelaznymi pazurami Matka wydrapuje oczy zlatującym się, kaczołapym aniołom. Wesoły LVGH, powszechnie zwany diabłem, ucieleśnieniem zła wszelakiego, klaszcze z radości w pletwy i śmieje się tak donośnie, że aż odpada mu głowa.

Sprawiedliwości staje się za dość: wszelkie zło (harpie, strzygi, cherubiny) przychodzi z góry i zostaje na-

tychmiast sprowadzone do parteru, potem - tam, gdzie jego miejsce - w niebyt.

Rozkawłokowane serafiny jęczą "Gdy śliczna Panna". Kręcę szybciej. Walka dobra ze złem toczy się wyłącznie pro forma, chwała YTFLZU jest tak wielka i oczywista, że pojmuje to każdy wystrugany z drewna smok, czy archanioł.

Idą na śmieszłą wojnę z pełną świadomością porażki, nucąc pozytywkowe kolędy.

- Pomóż, Patryk - rzucam półgębkiem gdy czuję, że ręce zaczynają mi mdleć.

Ten rzuca się w sukurs. Teraz obaj poruszamy mechanizmem. Niespiesznie wypełnia się wyrok.

Pani Janina początkowo błdziła wzrokiem - to po nas, to po ruinie mieszkania. Z czasem jednak wciągnęła ją historia, którą przedstawiamy.

Z zainteresowaniem ogląda własną, nakręcaną śmierć.

Lampy rozgrzewają się powoli, kalejdoskop nie rychliwy, ale sprawiedliwy. W kontekście nałogu butelkowego pani Thorlaf (ofiary? skazanej?) można by zażartować, że tak czy inaczej - od szkła nie ma ucieczki.

Nikomui nie są jednak w głowie dowcipasy. Pękły granice, już niczego nie udajemy. Pani Dynkowska właśnie odnalazła swój środek tarczy, dotarła do meritum. Mniejsza o to, że mimowolnie.

Wysuwają się świeczuszki. Natychmiast wyjmuję z kieszeni zapalniczkę.

I staje się ogień. Jakaś jasność przywędrowała znad Betlejem, żeby pożreć jedną z nas. Cieszymy się, radujmy, bo wypełnia się święto.

Dziesiątki kryształowych menzurek z przelewającą się, toksyczną zawartością, ostrzejsze od brzytw, kolorowe kamyczki, cyngle wzbudzające jeden drugi, klikanie i ciepły chlupot.

Na suficie rysuje się Droga, Mleczna Tęcza. Dosięgnij, pani Jasiu, spróbuj upić choć łyk! Już zapiera ci dech? Nie próbuj zaprzeczać, widzę!

Gwiazdy wlepiają się w tynk, rupiecie, błyskają przepalone kineskopy dawnych słońc. Kręci się film o dwóch pożerających się przez całe lata serpentynach, które nagle postanowiły koegzystować we względnym pokoju.

Machina kradnie światło zastane i zastępuje skrawkami blachy, ognistymi wiórami. Rozpruł się worek trocin, figurki kosmitów-partyjniaków wyrzucają odznaki i legitymacje.

Otwórz usta, to pójdzie gładko. Opór nie ma sensu. Dław się używanymi promykami, przetrwajoną przez LARUDŹŹ kutią.

Nie próbuję zamaskować, że mam potężny wzwód. Oj, wyzwoliło mi się ciutkę przydużo energii własnej, he, he.

Szopka błyskowa na nowo pisze historię kinematografii, filmu i tę o porodzie w stajence, szopie. Pałacu

pełnym osłów, skrytobójców.

Blaszany, rozgrzany niemal do białości Herod Wielki wydała ze skrzeli ciemnogrnatowe opiłki.

Parujemy na tęczowo. "Więcej światła!" - krzycze, bo akurat jestem Goethe i przyszło mi umierać. Nieść dobrą nowinę. Świętować na śmierć. Zakolędniczać ludzi.

Znowu - afabularność: błyskawka za nas gada, sobie a muzom. Sensu w tym niewiele, za to są igły i kaleczące szkło.

Trzeszczą koła zębate. Pani Jasia przegląda się w lusterku. Jest zadowolona - z elektrycznym nimbem wygląda, jakby znowu miała włosy. Teraz to wikindzyc... wikindzka pełną gębą! No już - miecz w dłoń - i na krucjatę! Myl epoki i fakty historyczne.

Rzeź niewiniątek: butelki z odbitymi szyjkami spadają z półek, jedna po drugiej. Egzekucja szkła przez inne, silniejsze.

Przewracają się sanki i wypada z nich Krasnoludkołaj - mały, marketingowy święty. Na ścianach rysują się cienie, z amszynerii wychodzą duchy czerwonoносych, pociągowych pijaków.

Nie śmieć się tak, Jaśka, bo będziesz mieć śmierć w stylu jugalo.

Pająk zasnuwa siecią wejście do groty, w której schroniły się, uciekając przed pocięciem na złom stare, w ielkookie parowozy.

- Aaagggua! - puszczaemy wreszcie, jak na komendę, tak samo płaczliwie krzycząc, korbisko. Patryk cierpi, ja cierpię, obu nam z mięśni ramion zrobił się kompot z suszu.

Dymią resztki zdesakralizowanej maszyny. Odstawiliśmy szopkę. Tam, gdzie powinna stać - na półkę. Szkło trafiło, jak nieprecyzyjnie się mawia, na śmietnik historii.

Paruje pot. Blaszane żołnierzyki marzyły o sercu, a zamiast tego opily się smaru i mają mdłości.

Za to nasza "klientka" wydaje się być zadowolona: z wyglądu nie przypomina już nordyckiego barbarzyńcy, a... obsypaną z igieł choinkę-gąbkę, wyrzucony na brzeg po latach brylowania na dnie, szkielet batyskafu.

Jest perforowana, przeżarta przez świetlistą rdzę. Nie dymi, nie paruje. Przynieśliśmy jej skórę z kamiennego króliczka.

Patrzmy z Patrykiem ogłupiali, jakbyśmy pierwszy raz uczestniczyli w święcie zmarłych/kolędownali. Nie za bardzo wiadomo - smucić się teraz, czy raczej nie ma z czego?

Obszukać mieszkanie? Do resztyś zdurniał? Oślepl? Znajdź jedną, pół cennej rzeczy w tym bajzlu! Co ona miała? Promile, nic więcej! - gorszę się na bezdennie głupią i nietaktowną, własną propozycję.

- I tak kończą nadwrażliwcy... - próbuję rzucić mądrą sentencją, albo choć ułożyć jedno zdanie epitafium, ale raz - nie klei się, słowa mają wychodne, dwa - perły przed nieuka.

Na obłej klatce schodowej młody wiesz mi się na ramieniu. Cała mistyka, groza, posielankowa śmieszność (jak blisko jej do słowa "świętość") spłynęła po nim jak po kaczce. Gęsi. Martwym pawiu.

- Przynajmniej nie linieje... - usiłuje być dowcipny. Mam ochotę dać mu w ryj. I na seks. W sumie - na jedno wychodzi.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Florian Konrad, dodano 19.07.2019 16:47

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.